№ 73. Warszawa, dnia 29 Sierpnia / 10 Września 1872 roku. Tom II. — Rok I.

WIENIEC

PISMO CZASOWE ILLUSTROWANE

WYCHODZĄCE DWA RAZY NA TYDZIEŃ.

Prenumerata w Warszawie:
We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie: rocznie rs. 5 kop. 40, półrocznie rs. 2 kop. 70, kwartalnie rs 1 kop. 35, Wieniec wraz z dodatkiem Encyklopedyi Powszechnéj w 8-miu tomach rocznie Rs. 9 kop. 40, kwartalnie: Rs. 2 kop. 35.
Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:
Rocznie rs. 8, kwartalnie rs. 2, wraz z dodatkiem Encyklopedyi rocznie rsr. 13, kwartalnie rsr. 3 kop. 25.

Wydawca Hipolit Orgelbrand.

Ekspedycya główna w Warszawie, ulica Bednarska N. 20.

W Cesarstwie Austryackiém: we Lwowie u Seyfartha i Czajkowskiego kwartalnie: flor. 3 cent. 25; wraz z dodatkiem Encyklopedyi kwartalnie florenów 5 cent. 5.
W Krakowie w księgarni wydaw. dzieł tanich i pożytecznych, kwartalnie: flor. 3, wraz z dodatkiem Encyklopedyi flor. 4 cent. 80.
W W. Ks. Poznańskiém: u F. H. Richtera, kwartalnie tal. pr. 1 sgr. 22½, wraz z dodatkiem Encyklopedyi kwart. tal. pr. 2 sgr. 22½.

O PROSZONYM CHLEBIE.

POWIEŚĆ

przez

Waleryę Marrené

(Morzkowską).

III.

Ciąg dalszy. (Ob. Nr. 72).

Plaskocina ściągnęła brwi, jak gdyby nie p o d z i e l a ł a przekonania Wickowéj, lub podejrzewała jego szczerość; była to nizka natura,po za której pojęciem leżały wszystkie szlachetne uczucia.

— Ha szepnęła przez zaciśnięte zęby: więc sądzicie, że nie ma rady?

Brzmienie jéj głosu, było chłodne, nieledwie szydercze, aż swatka zrozumiała, że opierając się jéj woli, może stracić obiecane korzyści.

— Ja nie wiem bąknęła niepewna, czy może lepiéj odemnie rozumiecie jak postąpić, żeby stary Antol za wami przemówił.

— Jeszcze czego! zawołała Plaskocina; może będę przepraszała?

Zacisnęła wązkie wargi, a Wickowa zrozumiała że z téj strony zachodzić nie wypadało, jeśli nie chciała utracić tak bogatéj kumy.

— Ha, rzekła,ja zrobię jak zechcecie.

Kobieta milczała, rada była trudna, więc spuściła głowę i zdawała się namyślać. Na upór Dąbków nie miała lekarstwa: w danéj chwili mogła zemścić się za odmowę, mogła radować się niedolą, jak to zawczasu uczyniła Wickowa, ale na teraz trzeba było znieść czego niepodobna było odmienić, nie przywykła do oporu, gniéwała się daremnie.

— Ten wasz Stacho oszalał! zawołała.

— I ja tak samo powiadam, podchwyciła przebiegła swatka. Szkodaby dla niego było Maryśki. Uspokójcie się kumo! naraję ja wam innego zięcia, takiego, co mi za niego dziękować będziecie. Ot na drugiéj wsi u Kaźmirków Swierszczów jest swarny chłopak.

Jakkolwiek nie odpowiadało to życzeniu Plaskociny, która lubiła bądź co bądź na swojém postawić, rzecz to była praktyczna, obie kobiety zaczęły więc szeptać pomiędzy sobą układając nowe plany.

O starym Antolu nie było więcéj mowy, a jeśli córka pomyślała o nim, myśli te nie uradowałyby zbolałego serca ojcowskiego. Ona miała żal do niego, że ukazaniem się swojém popsuł jéj szyki i na jaw wykazał postępki; zresztą nie rozumowała nad tém uczuciem: była to szorstka, nizka natura, niezdolna zdać sobie sprawy z pobudek rządzących czynami ludzkiemi, chciwość i żądza panowania popychały ją do złego, którego nawet w całéj rozciągłości pojąć nie umiała. Była gniewna o to, że we wsi dowiedziano się, iż ojca niezdolnego do pracy wypędzała z domu; przecież nie przyszło do głowy naprawić złe spełnione. „Stało się pomyślała i nie pomyślała daléj że to odstać się może, wstyd nie przyznany przed samą sobą zamykał jéj drogę powrotu, choć instynkt niesfałszowany niczém szeptał jéj że źle postąpiła. Jednak nie chciała się cofać, nie upatrywała w tém doraźnéj korzyści, serce jéj nie zakołatało mocniéj w piersi na wieść o zjawieniu się ojca, nie zapragnęła zobaczyć go, paść do nóg, prosić o przebaczenie, spojrzeć w te oczy, co niegdyś spoglądały na nią z taką miłością, w te twarz spracowaną, pooraną brózdami, na któréj walki życia wypisały się tak wyraźnym stygmatem. Uczucia te leżały po za granicami jéj pojęć. Pomimo to obecność Antola we wsi ciążyła jéj na myśli; nie wiedziała na jak długo tu przyszedł, i pragnęła usłyszeć że znów powędrował w świat szeroki, a zapytać nie chciała i niepewność ta czyniła ją drażliwą tylko.

A tymczasem starzec wyszedł z chaty Dąbków, pomimo nalegań matki Stacha. Wieś ta nęciła i odpychała go zarazem, szukał w niéj rzeczy, która nie istniała na świecie — serca swéj Połoski. Bez niego nie mógł tutaj wytrzymać, powietrze było mu duszne, uciskało piersi kamieniem, nie mógł pozostawać w chacie.

Zimny wiatr chłodził czoło jego gorące, chwiejnym krokiem szedł koło płotów ogradzających znajome mu mieszkania krewnych, kumów, sąsiadów, nie pragnął nigdzie zapukać, a przecież wszędzie spotkanoby go z okrzykiem zdziwienia. Był tak zmęczony życiem, iż lękał się tych wszystkich słów i zapytań. Wiedział, że nikt nie przyjąłby go z okrzykiem radości, że nikt na serce jego nie wlałby balsamu miłości. Ktoż zgadnie ile w piersi człowieka mieścić się może goryczy gdy samotny, wydziedziczony, spogląda na ucztę życia przy któréj nie ma miejsca dla niego? A przecież pragnienia jego były skromne: byle tylko jedno serce otworzyło się dla niego a w jednéj chacie ukazała się postać kobieca z dobrém słowem na ustach.

Ale drzwi téj chaty były zamknięte. Widać było przez okienko raźny płomień ogniska niby gwiazdę błyszczącą. Dziad popatrzał na to czas jakiś—zamyślony, drżące ręce oparł o płot sadu głowa opadła mu na piersi, pochylił się naprzód całém ciałem, jakby go siła niewidzialna ciągnęła do tego miejsca; stał tak długo jak duch niewidzialny oczom ludzi. Potém oddalił się

wolnym krokiem, jakby mu sił brakowało; złamany był na duszy i ciele tym jednym wieczorem więcéj niż całemi latami tułactwa.

Mijały dni i tygodnie, wszystko we wsi powróciło do dawnego trybu, zapomniano o niespodziewaném zjawieniu się starca, tylko ślad jego pobytu został w sercach Hanki, Stacha i jego matki. Może też kiedy spokój Plaskociny zamącił się wspomnieniem, może kiedy zerwała się we śnie, trapiona przywidzeniami. Zresztą codzienna praca absorbowała ludzi tak dalece, że ze zwykłym fatalizmem wieśniaczym zapominali o groźnéj przyszłości.

Czasem Dąbkowa po cichu załamywała ręce, myśląc że syna utracić może, ale nie szukała już ratunku, wiedziała, że go nie znajdzie, przeznaczenie spełnić się musiało. Wprawdzie Antol uspakajał ją słowami pociechy i nadziei, ona jednak nie zwróciła na to uwagi i widziała w nich tylko dobre serce jego—nic więcéj. Zresztą w cóż ufać mogła? Modliła się gorąco, ale wiedziała, że tysiące matek równie gorące modły zanosiły do Boga; dla czegoż ona właśnie miała być wysłuchaną? Codzień budziła się ze ściśniętą piersią, przyszłość przygniatała ją ciężarem swoim, przyszłość straszna, niezbadana, o któréj lękała się pomyśleć nawet. Dzień upływał wśród ciągłéj trwogi, bo stanowcza godzina każdéj chwili nadejść mogła. Spoglądała z pod oka na syna chcąc nasycić wzrok swój jego widokiem, upewnić się że posiada go jeszcze i lękała się spotkać na jego czole ślady téj saméj troski. Oboje kryli wzajem uczucia swoje, nie chcieli dzielić się niemi, bo i cóż powiedzieć sobie mogli?

Z Hanką może Stach był szczerszy. Schodzili się codzień wieczorem w sadzie za chatą, tam gdzieśmy po raz pierwszy widzieli ich z sobą, a potém oczy dziewczyny wieczorem przy kądzieli czerwieniły się łzami. Ona także o swoim smutku z nikim mówić nie mogła, wzdychała tylko w cichości serca, twarz jéj stała się bardzo bladą, oczy podkrążone zdawały się większemi niż były, i świeciły smutnym blaskiem z po za długich rzęs wilgotnych.

Wszystkim trojgu dni wlokły się w nieskończoność, jednak gdy słońce chyliło się ku zachodowi, wśród czarownym obłoków, zdawało się im, że ten dzień odkradziony nieszczęściu minął szybko jak sen, że nie mieli czasu go użyć ani nacieszyć się nim jak należało.

Chłodna jesień zamieniła się w zimę, mróz zwarzył resztę liści na drzewach, śnieg przykrył ziemię białym całunem, i rozpoczął się rok nowy; oni nie mieli odwagi spojrzeć w przyszłość, oczekiwanie wyczerpywało ich siły każdego dnia mówili sobie po cichu: „Rozstać się przyjdzie jutro”. A jutro nie pocieszało ich, bo to, co się w niém nie spełniło, było nieodwołalne, konieczne jak śmierć.

U Plaskotów były nowe swaty. Wickowa nie zasypiała gruszek w popiele, naraiła męża Maryśce, takiego co jak Stach miał stawać do losów, i odtąd nie odstępowała jednéj i drugiéj strony, aż wreszcie zaraz po Nowym Roku wyprawiono wesele. Zięć nie dopytywał się o przeszłość żony, ani o ojca Plaskociny, nie zważał na ludzkie gadania, i rad zajął miejsce którém Stach pogardził. Wickowa nie zaglądała więcéj do chaty Dąbków, nie miała tam nic do zyskania.

Matka i syn nie wspominali o Maryśce i jéj posagu; może były chwile w których ucichło sumienie biednéj kobiety żałowała hardego postanowienia ale było to już po niewczasie. A Stach? on był rad że uniknął nieszczęścia, co miało niby bronić go od większego; przynajmniéj teraz los, nie zaś jego dobra wola, mógł rozłączyć go z Hanką; zdawało mu się, iż mniéj tracił nie wiążąc się z drugą. Wszak nie bacząc na siebie, umyślił uczynić dla matki ofiarę życia i serca; nie jego wina, że okoliczności stanęły na wspak jego chęciom i zerwały nienawistne związki. Teraz żył on obecną chwilą zawsze gotowy do wzlotu jak ptak na gałęzi upajał się dniem każdym, wiedząc że jest bez jutra. Przyszłość nie zależała od niego.

Chwila przyszła nakoniec. Wesoły dzień zimowy zajaśniał w całym zimnym lodowatym blasku. Była to znowu niedziela; ludzie wspinali się na mszę świętą po stroméj górze kościelnéj, Stach także gotował się do wyjścia gdy śnieg zaskrzypiał przed chatą pod ciężkiemi butami, drzwi uchyliły się i wszedł Piotr Siwak sołtys miejscowy.

— Niech będzie Chrystus pochwalony, wyrzekł uchylając czapki.

— Na wieki, wieków odpowiedział Stach.

Był to stary gospodarz z białemi jak mleko włosami, którego szanowała wieś cała.

— Cóż to powiecie, ojcze? spytał Stach wskazując mu ławę.

Ale on wstrząsnął głową.

— Niedługo mam tu bawić, wyrzekł, spoglądając na przemian to na matkę to na syna.

— Sąsiedzie, zawołała stara kobieta, mówcie prędko, wszak to jeszcze nie czas pewnie...

Piotr westchnął i namyślał się chwilę.

— Co tu próżno mówić, matko, rzekł wreszcie, jakby ważąc się na krok stanowczy, wzywają waszego Stacha do losów.

Wypowiedział to od razu. może miał słuszność, może niepewność jest największą męką. Oni spodziewali się téj wieści co dnia, co chwila, budzili się i zasypiali z myślą o niéj, była to nieodstępna troska ich życia.

— Wzywacie mnie do losów, wyrzekł powoli, jakby potrzebował sam sobie powtórzyć tę smętną nowinę, by ją myśl jego objęła.

Sołtys nie zrozumiał uczynionego wrażenia, wszakże ci ludzie wiedzieli od dawna o tém, mieli czas przygotować się do tego.

(d. c. n.)

PRZEGLĄD MUZYCZNY.

Urlop po capstrzyku. Trwoga wieczorna. Fra-Diavolo. Składka dla rodziny Moniuszki. Bilse.

Jeszcze w połowie czerwca krążyły wieści po Warszawie, że lada dzień na scenie naszéj wznowiona zostanie jedna z najlepszych oper Aubera Fra-Diavolo. Oba Kuryery zawiadamiając o próbach z niéj odbywanych, coraz bardziéj wzbudzały pewność ujrzenia jéj wkrótce na scenie. Nareszcie i dzień jéj przedstawienia ogłoszony. został. Ale według zwyczaju w reżysseryi opery uświęconego, dzień ów nadszedł, a Fra-Diavolo się nie ukazał. Kilka razy potém znowu z dnia na dzień operę tę obiecywano, nakoniec w dniu 25 lipca czerwone afisze ogłosiły na raz przedstawienie aż dwóch na raz oper nowych. Pierwsza z nich Offenbacha „Urlop po capstrzyku”, a druga pana Józefa Stefaniego „Trwoga wieczorna.”

— No, pomyśleliśmy sobie, chociaż z Fra-Diavolem ślamazarnie marudzono, wszakże można to przebaczyć za wystawienie dwóch na raz oper nowych, z których jedna jest płodem kompozycyi krajowéj. Zapewno reżysserya uznała za rzecz ważniejszą i pożyteczniejszą zaznajomienie nas z temi nowemi operami, niż wznawianie opery staréj i oklepanéj.

Ale omyliliśmy się w swych domysłach haniebnie. Rano bardzo wstaćby ten musiał, ktoby zechciał niedościgłe zamiary reżysseryi zbadać, a tém bardziéj, wyrażając się według terminologii myśliciela fryburskiego, *awożność* w nich dopatrzyć.

Wznowienie starego „Fra-Diavola” w każdym razie więcéj warte, niż wystawienie najlepszéj opery Offenbacha. Ale cóż powiedzieć można o pochopności reżysseryi w wystawianiu takiego „Urlopu”? Jest to opera po za granicami wszelkiéj krytyki się znajdująca. O librecie i wspomnieć niepodobna, bo się całe obraca na brudnych dwójznacznikach i scenach, w których autor pięknéj Heleny przeważnie się lubuje.

Muzyka z natury swéj tém się od innych sztuk pięknych wyróżnia, że nie może służyć do przedstawiania idei nikczemnych lub brudnych. Ta własność zabezpiecza ją od niecnych pokuszeń tych, którzyby ją z téj drogi niepokalanéj sprowadzić chcieli. Offenbach od dawna usiłuje téj sztuki dokazać, sprzęgając muzykę z takiemi sytuacyami i z takiemi wyrazami, z któremi się ona żadnym sposobem połączyć nie może. Ale najusilniejsze starania nie są w stanie natury rzeczy zmienić. Największe jego zabiegi celu zamierzonego osiągnąć nie mogą, gdyż cały materyał muzyczny, któryby przy innych warunkach mógł dzieło muzyczne utworzyć, po pierwszém zetknięciu się z pierwiastkiem tak obcym sobie, traci swą własność i staje się niezdatnym do utworzenia dzieła muzycznego. Bo czyż sądzicie, że takie „Życie paryzkie”, albo „Urlop po capstrzyku” są operami? My przynajmniéj uznać ich za nie nie możemy, chociaż nazwę oper im dano. Jest to tylko orgia, rozpusta akustyczna, służąca do zamaskowania sztandaru demoralizacyi i zepsucia. Słusznie bardzo ktoś powiedział, że Prussy największą nagrodę Offenbachowi daćby powinny, gdyż opery jego bardziéj niż działa Krupa ręką generała Moltke'go kierowane, do zwycięzenia Francyi się przyczyniły. Ale co skłania naszą reżysseryrę opery do karmienia nas taką strawą, tego wcale pojąć nie umiemy. Prawie w każdym elementarzu tę maksymę spotykamy, że celem sztuk pięknych jest łagodzenie obyczajów i uszlachetnienie. Muzyka i teatr najskuteczniéj do tego celu prowadzą. Komuż bardziéj o téj maksymie pamiętać należy, jeżeli nie reżysseryi? Gdyby któryś z teatrzyków ogródkowych „Urlop po capstrzyku” wystawił, tobyśmy się wcale nie dziwili. Brak chleba do wielu zboczeń człowieka skłonić może. Ale zarządem naszéj sceny wyższe cele kierować powinny. Gospodarność, wyrachowanie jest dla niéj rzeczy niezbędną, gdyż byt jéj od tego zależy,—lecz nie ma prawa się cofnąć przed ofiarą a nawet stratą materyalną, jeżeli cel, dla którego istnieje, tego wymaga. A cóż dopiero mówić o zaznajamianiu publiczności ze sztukami dążącemi do poniżenia i sponiewierania ideału, a zatém do zabicia muzyki!

Nie odmawiamy prawa bytu operom Offenbacha et consortium, jakkolwiek z oburzeniem i wstrętem na nie spoglądamy. Ależ na wszystko właściwe miejsce być powinno. Prelekcye nie wykładają się po szynkach, ani też hece w auli się wyprawiają. I za granicą grywają Offenbacha, ale na podobne rzeczy mają teatra oddzielne. I gdyby jaki rzutny przedsiębierca za-

czął podobne rzeczy przedstawiać u nas w którymś ogródku lub w teatrze Rappo, tobyśmy nic przeciwko temu nie mieli, równie jak nic nie mamy przeciwko cyrkowi małp, albo przeciwko pięknéj Florze. Ale zbijać wszystko na kupę, i śmieciem przekładać klejnoty, to się nie godzi. Dziś grają operę Meyerbeera, jutro Offenbacha, potém Moniuszki i znowu Offenbacha, daléj Gounoda i znowu Offenbacha i t. d. Cóż to za komposta muzyczna!

Astolf powiada:

„I szczęście jeszcze, jeśli nie te same usta
„Głoszą śpiew Terefercia i żale Augusta!"

Ale my, niestety, i tego szczęścia nie znamy. Te same usta nam wygłaszają uczucia Ernaniego, Fausta, Jontka, Almawiwy, co i Parysa, Larose-Pompon i im podobnych bohaterów. I jak tu artysta w godności traktowania sztuki utrzymać się zdoła? jak publiczność szacunek dla piękna, dla ideału zachować potrafi?

Możeśmy za nadto długo o téj kwestyi rozprawiali, ale uważaliśmy to za rzecz ważniejszą, niż wykazanie gdzie pan Filleborn użył w porę *mezza voce* lub wysoką nutę z piersi wyrzucił. Zresztą o „Urlopie po capstrzyku" pisać szczegółowo nie wypada, bo... mógłby papier się zarumienić.

Zaraz po „Urlopie" grano operetkę „Trwogę wieczorną." Pan Józef Stefani, piastujący dziedzicznie godność kompozytorską, w długiém swém życiu niemało napisał utworów bądź kościelnych, bądź salonowych. Utwory te w swoim czasie miały niejaką wartość i pewną wziętością nawet się cieszyły. Przed kilkunastu laty umieścił w „Ruchu Muzycznym" kilka duetów wokalnych. Niektóre z nich były dość wdzięczne, tylko ze wszystkich ogromny brak pomysłów modulacyjnych i kombinacyj harmonijnych przeglądał. Temu samemu zarzutowi i „Trwoga wieczorna" podlega. Wprawdzie libretto jest szczytem niedołężności, i drogę kompozytorowi całkiem zagradza, bo nie podaje mu żadnego uczucia ani myśli do rozwinięcia. Ale i pomimo tego widać, że opera nie jest dla talentu sędziwego p. Stefaniego polem właściwém, a przynajmniéj że za późno ku niéj się skierował. Brak zupełny dramatyczności przy niedostatkach wyżéj wymienionych pozbawia tę operetkę wszelkich praw do sceny. I gdyby nie śliczny mazur układu p. Meunier'a, wybornie i z dziwném życiem i wdziękiem przetańczony, to „Trwoga Wieczorna" zmusiła by nas do przedwczesnéj z teatru ucieczki.

We dwanaście dni po „Urlopie," to jest 25 lipca doczekaliśmy się „Fra-Diavola." Z prawdziwą przyjemnością spotkaliśmy się z tą starą naszą znajomością. Toż matki nasze motywa z téj opery nam nuciły. I ładna też to opera prawdziwie. Zbytecznie ją wprawdzie niegdyś sprofanowano i spospolitowano, ćwiertując na niezliczone potpourri, kontredanse i tym podobne łataniny, ale saméj operze w niczém to piękności nie ujęło.

Wykonanie jéj było po większéj części wcale niezłe. Artyści robili co mogli, ale nie wszyscy wiele mogli. Zerlina bardzo sumiennie i poczciwie rolę swą wykonała, ale nie była to Zerlina taka, jakiéj Auber wymaga. Wyśpiewywała wszystko należycie i z dokładném rzeczy pojęciem, ale brakło jéj téj wabności, téj zalotności, bez któréj Zerlina nie jest Zerliną. To już trzeba mieć wrodzone, a pannie Wojakowskiéj na tém zupełnie zbywa. Robimy tu uwagę, że najniewłaściwiéj panna Wojakowska za blondynkę się ucharakteryzowała. Włoszki przeważnie są brunetkami, więc trzeba się do tego stósować.

Rzadko kiedy reżysseryi opery niezręczniéj postąpić się uda, jak to było przy oddaniu roli Pameli pannie Stankiewiczównie. Jest to śpiewaczka pozbawiona wszystkich warunków dla solistki niezbędnych, i jéj rolę Pameli powierzono! Słyszeliśmy, że rola ta pani Majeranowskiéj początkowo była oddana, lecz że pani Majeranowska ją zwróciła, uważając sobie za ubliżenie w niéj występować, i sądząc, że rola Zerliny właściwie jéj należy. Nie będziemy się tu zastanawiali nad błędnością zdania pani Majeranowskiéj, chociaż rola Zerliny chyba przed laty kilkunastu mogła być dla niéj stósowna,—ale jeżeli to jest prawdą, że rolę Pameli odesłała, to możemy się tylko zadziwić nad brakiem sprężystości reżysseryi, gdyż taka kapryśna samowolność tolerowana być nie powinna. Rolę Pameli powinna koniecznie grać pani Majeranowska, gdyż panna Stankiewiczówna jest w niéj nieznośna.

Pan Filleborn bardzo byłby dobrym Fra-Diavolem, gdyby mu na właściwéj charakterystyce w śpiewie nie zbywało. Na bandytę jest zbyt sielankowym. Ale śpiewał bardzo dobrze.

Panowie Kozieradzki i Prochazka byli wyborni.

Pan Mikulski w roli Lorenza niezłym byłby wcale, gdyby głos jego zbyt prędko się nie nużył. Nawet akcya była trochę lepsza niż zwykle, tylko powinien zaniechać zbyt dokładnego naśladowania ruchami głowy figurek chińskich porcelanowych.

Chóry szły słabo; orkiestra za to wzorowo się spisała.

Dziwne się rzeczy dzieją ze składką na rodzinę Moniuszki. Składka ta według ostatniego sprawozdania Dyrekcyi Teatrów zaledwo 6,700 rubli przechodzi. Wstrzymują zaś wszystkich od ofiar wieści fałszywe przez kogoś zawistnego lub niechętnego puszczane, jakoby rodzina ta dostatecznie już od rządu uposażona została, co jest fałszem zupełnym. Już kilka gazet niemieckich w bezimiennych korrespondencyach z Warszawy wiadomość tę podało. Następnie niektóre pisma petersburskie to samo powtórzyły. Ależ taką rzecz najpierwéj organa rządoweby ogłosiły. A to illustracya petersburska wychodząca pod tytułem „Wsiemirnaja Illustracya" w Nr. 186 z dnia 22 lipca r. b. pisze w tych słowach: „Najjaśniejszy Cesarz wyznaczył dla rodziny zmarłego kompozytora Moniuszki pensyę coroczną w ilości dwóch tysięcy rubli srebrem." Podobne kaczki dziennikarskie wtedy tylko ujść mogą, kiedy nie są na szkodę czyją wymierzone.

Bilse w tym roku nie zrobił świetnych u nas interesów. Nawet wątpimy czy w przyszłym roku do nas zawita. A wielka byłaby szkoda, bo słuchanie jego orkiestry większą nam korzyść muzyczną przynosi, niż wszystkie razem wzięte inne nasze *muzykowania*. Ale taka to już nasza natura. Niegdyś Warszawa aż przesadzała w swém dla Bilsego uwielbieniu, a teraz całkiem ostygła w zapale, i już zbytecznie go zaniedbuje. Gdy go utraci, o! wtedy znowu wzdychać do niego i uwielbiać go będzie. Nigdy słusznie i właściwie oceniać rzeczy nie umiemy, i według przysłowia, mądrzy jesteśmy po szkodzie. W tym roku odciągały od Bilsego po części teatrzyki ogródkowe, ale te małą mu szkodę czyniły. Najwięcéj absorbował Salamoński. To już niepojęta, żeby hecę przenosić nad Bilsego! Główną wadą Bilsego jest to, że się zbyt często powtarza, —za mało swój repertuar odświeża. Ależ gdzie więcéj powtarzania jeżeli nie u Salamońskiego? A znamy takie osoby, które po trzy razy na tydzień stale go odwiedzały. To już prawdziwie szczęśliwe usposobienie i wyższa organizacya umysłu! *Fuza.*

Z KRAKOWA DO RZYMU

WYCIECZKA ARTYSTYCZNA.

I.

Przebiegnijmy całą przestrzeń aż po za Apeniny i o obejrzyjmy ją ze stanowiska wrażenia jakie czyni jako klimat, krajobraz i uprawa ziemi, aby potém takiż sam przegląd pod względem sztuki tą samą drogą przeprowadzić.

Otoż przedewszystkiem podróżnicy najzupełniéj przesadzili różnicę zachodzącą niby pomiędzy niebem północy a południa, pomiędzy krajami przedalpejskiemi a zaalpejskiemi. Wszyscy to tylokrotnie słyszeliśmy o jakiemś niby szafirowém niebie Włoch o ciemno-szafirowéj głębi gwiaździstego nieboskłonu na pełni, o innym zupełnie a stokroć piękniejszym kolorycie gór, drzew, ziemi, i o jaskrawych jakoby zachodach słońca na półwyspie apenińskim; wszystko przepoetyzowane lub widzianem musiało być przez jakieś okulary powiększające a złudne: znalazłem tylko tu stałą bardzo pogodę, pewne charakterystyczne odmiany w układzie obłoków wypływające w każdéj miejscowości z układu powierzchni ziemi, z tego najbardziéj i najczęściéj, czy znajdują się w pobliżu wysokie góry lub czy morskie wiatry na stan atmosfery wpływają, czy nareszcie mniejsza lub większa zmienność kierunku wiatru, może lub nie może spowodować większą lub mniejszą liczbę warstw w układzie obłocznym; — zresztą Lipiec bywa u nas niemniéj skwarny gdy jest pogodny.

Przebywałem drogę do Włoch przez Tyrol z Wiednia, na Linz, Salcburg, Insbruck, Trydent, Chiuse do Werony. Najpiękniejszą część drogi stanowią te zakręty w których śnieżny Brenner bezustannie przed oczyma podróżników stoi, kraj to leśny i z łąk bogatych a starannie utrzymywanych, nawodnianych i kilkakrotnie koszonych żyjący, koło Botzen zaczyna być rolnym a przed Trydentem już winnicami napiętrzony.

Doliny trzech rzek przebywa kolej od Wiednia do Werony. Najprzód szerokie rozłożyste otwarte koryto Dunaju, potem owo dzikie przypominające nasze Tatry skaliste łoże Jnnu, a nareszcie Adyga ogromnemi skałami ogrodzona, około Chiuse na piękną wytacza się równinę. Z powodu jednak téj skalistości ziemi roślinność ku południowi coraz bardziéj drobnieje. Cała dolina Adygi już od Trydentu począwszy, jest jednym ogrodem podzielonym na staja niewielkiemi drzewami, służącemi winnéj latorośli do pięcia się i przesuwania festonami od jednego pnia do drugiego. Pomiędzy tém ogrodzeniem, warzywa, kukurydza i nieco pszenicy stanowią przedmiot troskliwości rolników, którzy już w porze kiedym przejeżdżał (około 9 Lipca) zebrali zboże i na na nowo zaorywali swe małe kawałki ziemi. Ten nareszcie sposób urządzenia gospodarstwa wiejskiego i ten sam brak bujniejszéj roślinności plennéj jest charakterystyczną cechą całych Włoch. Okolice Rzymu nie są bogatsze ani w wielkie drzewa ani w bujniejsze zboże, za to, temi małemi drzewami i krzewami są oliwki, morele, brzoskwinie, cytryny i pomarańcze, które już swą pierwszą porę dojrzewania przebyły. Teraz ta cienka warstwa ziemi rodzajnéj niezdolna wyżywić wielkich drzew, przysposabia się już do wydania wina i do drugiego zbioru fig zielonych: czerwone, wcześniejsze już minęły. Na nas przy-

wykłych do bujnych sosen, dębów, lip, kasztanów i topoli, ta drobna roślinność robi wrażenie pustki i ubóztwa; nie są w stanie zastąpić tego braku potężnych koron liściastych, kaktusy, agawy, ani gdzieniegdzie po ogrodach rosnące palmy.

W odwrotnym stosunku do rozmiarów roślinności a w prostym do bogactwa mineralnego, ma się wielkość budowli a zwłaszcza rozmiary wewnętrzne kościołów. Panna Marya, katedra na Wawelu nie są małe, Ś-ty Szczepan w Wiedniu uchodzi za kościół wielki, choć jest od Panny Maryi mało co większy—a w katedrę florencką dziemy aby potém obszerniéj nieco o ich budowlach pomówić.

Pod tym względem napotykamy pewne podobieństwa pewne wspólności; każde miasto ma swój jakiś punkt, jakąś ulicę, ogród, plac, na którym w wolnych od zatrudnień chwilach dla powszechnéj gromadzi się rozrywki. Takiem miejscem w Krakowie jest ogród strzelecki, w Wiedniu Prater, w każdém włoskiém mieście jakieś Corso lub plac większy, muzyka jest tych miejscowości uprzyjemnieniem uprzywilejowaném. Krakowski ogród strzelecki jest czemś w rodzaju warszawskiéj doliny szwajcarskiéj. czornego chłodu, tak miłego tu po całodziennym upale.

Mieszkańcy Rzymu nie chcą żadną miarą przystać na to, aby ich niebo i ich przyroda nie miały być piękniejsze od innych zwłaszcza północnych; mają do tego pewne dane istotnie, owoce nigdzie tak prędko i tak zupełnie nie dojrzewają jak u nich, tak, iż pomimo wrodzoną ludziom chciwość jak najszybszego zbycia produktu, niedojrzałych bardzo mało spotkać można po sklepach, w ogóle jednak jest tych owoców ilość i liczba gatunków nader ograniczona, gruszek prawie nie ma lub gatunki bardzo nędzne,



Kościół księży Kapucynów w Olesku. Rysował z natury Gryglewski.

zmieściłyby się bezpiecznie, (nie mówię tu o wieży tylko o samém wnętrzu kościoła), zaś florencki Tum wraz ze Ś. Szczepanem mogłyby wygodnie zmieścić się w murach Ś. Piotra rzymskiego. W ogóle włoskie kościoły są wielkich rozmiarów, chociaż się zewnątrz częstokroć nie wydają być takiemi, inna jest rzecz pod względem wyrazu jaki noszą, t. j. cechy religijnéj, bo w tym względzie wielkość rozmiarów nie zawsze w parze idzie z przeznaczeniem budowli.

Przyjrzyjmy się jeszcze nieco obyczajom tych kilku główniejszych miast o których mówić bę-

Wiedeński Prater, obszerny park za miastem, bogaciéj w środki zabawy uposażony. Znaleźć tam można kilka czy kilkanaście jakby naszych ogródków muzykalnych, jeden nawet gdzie sztuki akrobatyczne przychodzą muzyce w pomoc i nawzajem. Włoskie place tak w Weronie plac Bra, jak w Wenecyi ś. Marka, jak w Rzymie della Colonna przy Corso, są otwartemi salonami, miejscami przechadzki i cichego gwaru uprzyjemnianemi doborową orkiestrą wojskową; cisza nocna, dostatek światła i powabne postacie niewiast, oto magnes ściągający tłum wytworniejszego świata na dwie do trzech godzin wie-

śliwek też niewiele, za to brzoskwiń tak dojrzałych aby pestki (z natury twarde jak kamień) same się otwierały i wyrzucały jądro, z trudnością by gdzieindziéj tyle znaleźć można; zdaje się, iż jest to tylko, co bez szczególnego chodowania samo się rodzi, zboże jedno i wino są przedmiotami niejakiéj uprawy. Przepędziwszy cały rok w Romanii możnaby zresztą i o innych roślinnych bogactwach o podwójnym zbiorze cytryn, pomarańcz i fig o granatach o winie szerzéj się rozmówić, a ta ciągła trudna do uwierzenia pogoda nieba, która jednostajną o téj porze i niezbyt bujną roślinność na barwną, spieczoną za-



Spotkanie się M. Stanleya z Dr. Livingstonem w Środkowej Afryce w okolicach Ujiji (Udżidzi).

mienia pod jesień, możeby nareszcie dały nam obraz wyraźniejszy południowéj strefy.

Najwybitniejszy wpływ jaki skwary południowe wywierają na tutejszą ludność miejską, widać w opustoszeniu miasta około południa, przez dwie do trzech godzin od 12-éj do 3-éj bardzo znaczna nawet liczba sklepów bywa zamkniętą, rozumie się sklepów z przedmiotami piękna lub zbytku—na tym bowiem ostatnim w Rzymie nie zbywa. Od niedawnego czasu miasto to jak opowiadają, miejscami zaczyna się nie do poznania zmieniać, buduje się, oczyszcza, porządkuje i przedstawia się istotnie w tych odnowionych częściach jako jedno z najbogatszych i najzbytkowniejszych miast Europy, od złota i drogich kamieni, mozaik, bronzów i materyi, świeci się Corso i cała hiszpańska dzielnica.

Z innego względu jednak klimatyczne przymioty miejscowości nakładające prawa na ubiór i sposób życia mieszkańców, nie zdołały jeszcze do tego czasu wywrzeć właściwego wpływu, ani na Rzymian dzisiejszych ani na Florentczyków, w ogóle na ludność przejętą ogładą i pewném dążeniem do ujednostajnienia zewnętrznego pozoru miejskich obyczajów i ubioru. Narzekają na straszne upały na osłabiającą, istotnie nadmierną transpiracyę ciała i powstającą ztąd łatwość przeziębienia się,—i cóż robią, aby się od tego ostatniego uchronić, oto wystawiają się na męczarnię dla nas nawet ludzi północnych nieznośną, ubierają się w wełniane odzienie pod bielizną noszone, psują, zmiękczają organizm zamiast przyjść mu z pomocą, naukowo wyrozumowaną. Starzy Latinowie lepiéj sobie w tym względzie poczynali, mieli ogromne budowle użytku publicznego, kąpiele ciepłe połączone wraz z zimnemi, które dając ciału czystość, świeżość, otwierając pory dla pierwszéj, zamykając dla drugiéj zaopatrywały je zarazem w znaczną ilość wilgoci z zewnątrz dostającéj się do ciała; przeczuwali lub z doświadczenia wiedzieli, że ogromny ubytek wody z ciała przez transpiracyę nie da się zastąpić samą wodą strawioną przez żołądek, brali w rachubę znać suchość powietrza, a osłaniając ciało szerokiemi fałdami ubioru, przy pomocy wody zewnętrznéj utrzymywali organizm w zdrowiu niezmiękczając go zbytecznie. Lud prosty pozostał jeszcze tylko przy niektórych tradycyjnych koniecznościach klimatycznych; do dziś dnia jeszcze ludzie ciężkiéj pracy piekarze, młynarze, kowale, robotnicy po śpichlerzach ciężary dźwigający, pracują tu obnażeni do pasa tak jak chodził Plaut, jak ich starożytne cyklopy w kuźni Wulkana, ciężkiemi wywijały młotami.

W ubiorze włościan napotkać można niejedną także tradycyę odwieczną: kobiety narzutkami białemi chronią głowy od upału, a niektóre części ich ubioru obchodzą się bez szwów przypominając dawne peplosy lub togi w nowożytny sposób uwinięte. Dziś jeszcze spotkać się tu można z rodzajem ubioru męzkiego który był nie wątpliwie pierwowzorem dla wyobraźni starożytnych do utworzenia satyrów o kozich nogach. Są to szerokie nogawice na wierzch innego ubioru wdziewane, zrobione z surowych niegarbowanych, o długim czarnym włosie skór kozich, które włościanie kampanii rzymskiéj noszą dla uchronienia się zarówno od zdarcia odzienia po kolczastych zaroślach jak i dla odstraszenia żmij i skorpionów, nie znoszących ani wyziewu ani kosmatéj powierzchni skóry; nić wyraźniejszego nad to iż wyobraźnia artystów dawnych, ich bystrość spostrzegawcza, tych prostaczków pierwotnych (do dziś dnia zresztą nie ucywilizowanych jeszcze) przerobiła na istoty pół zwierzęce, że ich użyła na wyobrażenie najgrubszéj cielesności. O takie punkta zetknięcia się dawnych czasów z dzisiejszemi nietrudno tu i w życiu i w sztuce są to węzły po których dobadać się można najwnętrzniejszych tajników nieprzerywalnego ciągu wielowiekowego życia narodu, zobaczemy je i w sztuce niemniéj wybitnemi i niemniéj dowodnemi, chociaż przyjdzie nam zaledwie potrącić o nią.

Jak w ubiorze, w mowie; w sposobie wymawiania, tak też w nałogowym, że tak powiem sposobie budowania się najprostszego, najzwyczajniejszego tkwią pewne charakterystyczne cechy rodów, upodobania; lub ślady odwiecznego doświadczenia.

Z tych odległych stron w których słowiańszczyzny w niczém już dopatrzeć się nie można uszczkniemy jednak jak z niedostępnych wyżyn alpejskich kilka kwiatów pamiątki rodowości ludu który zamieszkuje wybrzeże od Wenecyi ku południowi ciągnące się mil kilkanaście, sięgające zaś do stóp ostatniego zmalałego ramienia Alp; nizina stanowi północno wschodni spadek tego grzbietu. Jakież są te szczątki? zapytacie. Oto pod względem wymawiania dostrzegłem chakterystyczne *i* kładzione przed wyrazami zaczynającemi się od samogłoski jak nasz lud mówi *Jadam*, *Jewa*, tak w okolicach Wenecyi mówi się *jaqua* (woda) zamiast *aqua*. Najbliższą Wenecyi przy samym początku grobli lagunowéj znajdującą się stacyę kolei zwaną *Marrena* lud wymawia *Marzenna*, nadając jéj brzmienie obce zupełnie włoskiemu językowi. Pomijam to iż jedna z dalszych nieco stacyi w dole leżąca nazywa się *il Dolo*, a zwracam uwagę na sposób budowania się wiejskiego w téj stronie który bez zmiany sięga pod samą prawie Bolonię. Oryginalnością uderzającą są tu wysokie strzechy słomiane i przyźby u chat mieszkalnych wsparte na słupkach cienkich, lub powstające wprost z znaczniejszego wysunięcia strzechy po za drewniane ściany. Czyżby lud ten przechował jeszcze tradycyjną wiadomość, iż strzecha słomiana od gorąca i od zimna zarówno lepszém jest pokryciem niż dachówka? (używana powszechnie w całych Włoszech),—trudno na to odpowiedzieć nie mając sposobności rozmówić się w téj sprawie z miejscowymi, notuję więc fakt tylko z tym dodatkiem, mogącym mu nadać niejaką rozciągłość i głębokość, iż na téj podstawie możnaby oprzeć badania, prowadzące do nakreślenia granic prastaréj słowiańszczyzny podług granic słomianéj strzechy. Wszakże w Bretońskich strzechach i języku tego ludu już ktoś rodowe cechy lechickie był dojrzał, wszakże ztamtąd idąc ku wschodowi, dzisiejsze Hanowerskie temi strzechami się znamionuje, a co więcéj i ubiorem bardzo zbliżonym do zupełnie jeszcze słowiańskich Łużyc, tu więc tylko dodam jeszcze, że w Styryi słomiane strzechy i kurne chaty o dymnikach (które w miastach naszych nazwę zachowawszy tylko i w szyby się zaopatrzywszy stały się mieszkaniami) są powszechnie używane że zatém tędy idzie przez Krainę pas słowiański po nad Adryatyk, co jeszcze tém poprzeć się da iż sposób budowania czysto włoski z muru, dachówki o płaskich dachach, z belwederami na ubogich nawet domach miejskich w górę Adygi aż po za Trydent sięga; że tu zatém nie klimat nie materyał ale obyczaj odwieczny, tradycya lub przekonanie w spadku odziedziczone za podstawę do twierdzenia bierzemy,

PRZEGLĄD LITERACKI.

Ciąg dalszy. (*Ob. Nr. 72*).

Przegląd dziejów przyrody. — Studya filozoficzne d-ra Wincentego Szyszłło (*ę*). — Warszawa. 1872.

Po kosmogonii autor poświęca jeden rozdział geologii i paleontologii, które od czasu Jerzego Cuvier'a tak wielkiemu uległy rozwojowi, że dzisiaj niezaprzeczenie stoją na wysokości innych umiejętności przyrodniczych. Zgodnie z najwyższemi powagami naukowemi, autor dzieli rozwój ziemi ze stanowiska biologicznego na trzy okresy. Do pierwszego należy olbrzymi przeciąg czasu, jaki upłynął od początku ukształtowania się naszéj ziemi do pojawienia się na niéj istot kręgowych czaszkowych (*craniota*). Obejmuje on formacyę lauretyńską, kambryjską i sylurską. Drugi okres, trwający do ukazania się człowieka na ziemi, obejmuje formacye: dewońską, węglową, permską (z paleozoicznych czyli pierwotnych), pokłady drugo-rzędne i trzeciorzędne. Trzeci okres rozpoczyna się od zjawienia się człowieka na ziemi i trwa do obecnéj chwili. Tu należy peryod lodowy, diluwialny i aluwialny. Cały przeciąg czasu wszystkich trzech okresów geolog Volger podaje na 648 milionów lat. Autor charakteryzuje każdą formacyę pod względem geologicznym i paleontologicznym i uszcza się z tego zadania zwięźle i dobrze, jak zwykle. Oczywiście, przedmiotem naszego sprawozdania nie może być wyliczanie naukowych zdobyczy dokonanych na polu obudwóch umiejętności. Winniśmy jednak dotknąć w kilku słowach oryginalnego poglądu autora na peryod *lodowy*, poglądu, w którym dr. Sz. odbiega od najznakomitszych powag dnia dzisiejszego. Przedewszystkiém zastrzedz wypada, że teorya Agassiz'a, podług któréj cała kula ziemska była skuta w okresie lodowym dwiema olbrzymiemi bryłami lodu, sięgającemi od obu biegunów prawie do równika, w skutek czego życie organiczne musiało zniknąć na ziemi całkowicie, —teorya ta nie ma dziś zwolenników. Prace geologów dzisiejszych—Lyell'a, Murchison'a i wielu innych dowiodły, że nie było na ziemi tak gwałtownego i powszechnego przewrotu, któryby całkiem zniszczył życie organiczne. Nie ulega wątpliwości, że wszystkie kataklizmy ziemi miały charakter wyłącznie miejscowy. Gdy jednak istnienie lodowego okresu nie ulega wątpliwości, zachodzi pytanie: co mogło spowodować tak silne oziębienie ówczesnego lądu w ciągu długiego okresu geologicznego? Podług Lyell'a peryod lodowy nastąpił w skutek przyczyn wyłącznie tellurycznych, a mianowicie z powodu zmiany położenia lądów i wód, wynikłéj z wyniesienia się Alp, gór Szkocyi, Skandynawii i Wallii. Tyndall tłómaczy okres lodowy podniesionem promieniowaniem słońca. Zdaniem jego potrzeba było ciepła zdolnego wytworzyć wielką obfitość par wodnych, a następnie wielkiego oziębienia, jakie mogło powstać w podbiegunowych strefach, aby peryod lodowy mógł nastąpić. Arago i pani Royer usiłują objaśnić peryod lodowy zmianą położenia osi ziemskiéj względem biegunów geograficznych—przypuszczając, że położenie tych biegunów ciągłym ulegało zmianom. Dotychczas najwięcéj zwolenników liczy teorya wypowiedziana przez francuzkiego uczonego Adhémar'a. Adhémar opiera się na zmianie położenia ziemi względem słońca i in-

nych ciał niebieskich. Jako przyczynę, która wywołała peryod lodowy, podaje powolną zmianę położenia wielkiéj osi naszéj planety i posuwanie się téj osi od zachodu na wschód. Półrocza zatém są nierówne, a korzystna przewaga godzin dziennych przypada obecnie dla naszéj półkuli. Korzystny ten stosunek nie będzie trwał wiecznie, lecz przeważy się z kolei na stronę półkuli południowéj. W r. 6,498 ery naszéj nastąpi zrównanie się półrocza letniego z zimowém. Skutkiem dalszego oziębiania się klimatu, powinienby podług wyliczenia Adhémar'a, przypaść w r. 11,750 nowy peryod lodowy. Zdaniem dra Sz. przyczynę lodowego okresu upatrywać należy w zmianie warunków kosmicznych, spowodowanéj prostopadłém położeniem osi ziemskiéj względem ekliptyki. Z powodu takiego położenia i rozmieszczenia wód oblewających ziemię jednym olbrzymim oceanem około równika, ogromna ilość pary powstałéj na równiku, zgęszczała się u biegunów, osiadając w postaci śniegu. „Skutkiem przeniesienia stopniowego ogromnéj ilości wody z pod równika do biegunów, w ciągu jak oblicza Lyell, 2,000 lat, środek ciężkości ziemi istotnie mógł się zmienić i pochylenie jéj osi w skutek tego nastąpić mogło. W tym samym czasie przeniesienie przez parowanie olbrzymich mass wód z pod równika ku biegunom, spowodowało wynurzenie się przy równiku wielkich lądów Afryki, Azyi i Ameryki. Rozległe morza Sahary i Arabii przeniosły się na nasze równiny i pokryły wszystko śniegiem i lodem, niszcząc ostatnie szczątki życia organicznego w tych miejscowościach." Przypuszczenie stopniowego zboczenia osi ziemskiéj od położenia pionowego względem ekliptyki, równie dobrze tłómaczy zniknięcie okresu lodowego, jak i jego początek... Oś ziemi do pierwotnego położenia wrócić już nie mogła, raz z tego powodu, że na równiku powstały znaczne lądy i siła odśrodkowa nie może już oddziaływać na stały ląd, tak jak oddziaływała na oceany, a powtóre dla tego, że peryod lodowy nigdy już odtąd nie przestał istnieć w okolicy kół podbiegunowych. Obecnie jeszcze widzieć możemy na szczytach gór to, co kiedyś działo się w olbrzymich rozmiarach. Miniaturowy proces lodowego peryodu obserwować się daje w Alpach, Himalajach, Andach, a nawet i na naszych Karpatach. Na wszystkich tych górach latem poniżéj linii wiecznych śniegów, istnieje druga linia lodowa. Śnieg zamienia się w lód skutkiem podniesienia się temperatury na wiosnę i lato. W porze letniéj lodowce zsuwając się z gór, unoszą z sobą części skał (tak zwane moreny) na odległe przestrzenie. Podobny proces odbywał się i w epoce lodowéj... Topienie lodów, jako też wyniesienie się gór na północy i południu Europy były przyczyną gwałtownych zalewów Europy. Potopy te były tylko miejscowe. Potop biblijny nastąpił prawdopodobnie skutkiem wyniesienia się pasma gór środkowéj Azyi, Ameryki i Kaukazu.

Co do człowieka, nie ma dotąd zgody pomiędzy geologami względem istnienia jego w epoce plioceńskiéj. Niektóre fakta zdają się przemawiać na korzyść bardziéj jeszcze starożytnego pochodzenia naszego. Prawdopodobnie początkowy rozwój człowieka należy do formacyj trzecio-rzędnych, lecz właściwie człowiek taki, jakim go dziś znamy, powstał w epoce diluwialnéj. Co się tycze bezwzględnéj starożytności rodu ludzkiego, nauka nic stanowczo jeszcze w téj mierze nie wyrzekła. Jedni podają cyfrę 150,000 lat, inni 12,000. Zresztą jest to kwestya podrzędna i wszelkie podobne obliczenia są bardzo wątpliwe. Również nauka nie wyjaśnia, gdzie się człowiek po raz pierwszy ukazał. Powszechnie sądzą, że równiny południowéj Azyi, Persyi, Mezopotamii, były pierwotném jego siedliskiem. Darwin w ostatniém swém dziele „O pochodzeniu człowieka" dowodzi, że prawdopodobnie ród nasz pochodzi z Afryki. Haeckel wyprowadza go z Lemuryi, kraju dawniéj istniejącego na miejscu dzisiejszego oceanu Indyjskiego, i zakreśla mu czas istnienia przewyższający znacznie cyfry przytoczone.

Następnie autor mówi o stopniowém zwiększaniu się massy ziemi i o jéj powolném stygnieniu. Niektórzy uczeni przypuszczają, że ziemia z czasem całkiem ostygnie i wszystkie wody wsiąkną w jéj wnętrze, a w ten sposób zniknie życie organiczne na ziemi. Zdaniem innych zwiększanie się massy słońca (w skutek spadania asteroid i aerolitów) i siły jego przyciągania spowoduje zbliżenie się, a następnie spadnięcie planet na jego łono. Tyndall oblicza, że ilość ciepła wytworzona przy spadnięciu ziemi na słońce równałaby się ciepłu otrzymanemu przez spalenie 6,435 kul kamiennego węgla, równych ziemi objętością swoją. Jeśliby zaś ziemia zatrzymana była w obiegu swoim około słońca, wywiązany cieplik podniósłby jéj temperaturę do 384,000° C., co byłoby dostateczno do zamienienia większéj części ziemi w parę. Podług widzenia autora najbardziéj życiu organicznemu ziemi zagraża stopniowe zmniejszanie się atmosfery i wody. Stała massa ziemi ciągle się powiększa ich kosztem. Wszystkie rośliny i zwierzęta w swoich tkankach są przeważnie z wody złożone; kiedy więc ilość wody nie powiększa się, to niezawodnie musi spożyć się na ciągły rozwój życia organicznego i na stopniowe wsiąkanie do środka ziemi. Podobnież ilość tlenu i kwasu węglanego ciągle się zmniejsza i zmniejszać się będzie w atmosferze. „W odległéj zatém epoce, któréj czas przyjścia obliczyć będzie można, skoro oznaczony zostanie stopniowy ubytek wody i tlenu, nastąpi zmniejszenie się ilości spadających deszczów, a jednocześnie i zmniejszenie się życia roślinnego. Ze zniknięciem roślin, zginą zwierzęta roślinożerne, następnie mięsożerne, i ród ludzki — ostatni świadek zniknięcia życia organicznego na ziemi, z kolei rzeczy zniknąć będzie musiał... Na nieszczęście usilnie sami pracujemy nad przyśpieszeniem tego kresu przez wyjałowienie gruntów, a nadewszystko przez niszczenie lasów..." Rozpaczliwą tę perspektywę autor rozjaśnia w końcu uwagą, że uwzględniając stopniowe oczyszczanie się wody i powietrza od wszelkich dodatkowych części składowych (?) „przychodzimy do przekonania, że peryod obecny pod względem warunków bytu jest korzystniejszy od wszystkich, jakie go poprzedziły... że zapatrując się ze stanowiska naukowego, nie widzimy żadnych przeszkód mogących tamować rozmnażanie się i doskonalenie rodu ludzkiego. Przemawia za tém także ciągły rozwój umysłowy ludzkości, — gdzie (?) coraz wyższe pojęcie dobra, piękna i prawdy, coraz powszechniejsze poczucie obowiązków narodowych i społecznych spostrzegać się daje." A zatém nie rozpoczajmy!

(d. n.)

KOŚCIÓŁ KSIĘŻY KAPUCYNÓW
W OLESKU.

W numerze 66 Wieńca umieściliśmy opis zamku wraz z jego widokiem w Olesku, obecnie przedstawiamy rysunek kościoła księży kapucynów w téjże miejscowości. Fundował go wraz z klasztorem Józef Seweryn Branicki wojewoda wołyński, w r. 1739, takowy hojnie uposażył, ozdobił, we wszelkie potrzeby i w nim też pochowany został w r. 1755. Od roku 1841 w skutek pogorzeli miejscowego kościoła parafialnego, i wszelkie doń przywiązane posługi przeniesione zostały do kapucynów. Pod względem struktury i masy murów, jest on wedle zdania Kuropatnickiego, najwspanialszym ze wszystkich kapucyńskich klasztorów.

SPOTKANIE SIĘ
M. Stanleya z Dr. Livingstonem w Środkowéj Afryce w okolicach Ujiji.

Jednym z niestrudzonych podróżników tegoczesnych jest Dr. Livingston, który w roku 1865 udał się do środkowéj Afryki, w celu nietylko zbadania źródeł Nilu; ale z zamiarem założenia tamże kolonii misyonarzy i faktoryi kupieckich. Niepewność o losie odważnego turysty, spowodowała wyprawę p. M. Stanleya w celu odszukania go, i w dniu 10 Listopada 1871 r. spotkali się przypadkowie w okolicach Ujiji w pobliżu jeziora Tanganyika. Rycina na str. 677 naszego pisma, przedstawia właśnie tę chwilę spotkania się z sobą dwóch znakomitych tegoczesnych podróżników po środkowéj Afryce.

Dr. Livingston w ciągu swéj podróży poczynił ważne odkrycia tak pod względem geograficznym, jako i etnograficznym; a zdobycze swoje przyrzekł zakomunikować Towarzystwu geograficznemu w Londynie dla właściwego ich spopularyzowania.

ZE ŚWIATA
NAUKOWEGO I SPOŁECZNEGO.

STANOWISKO AKTORA W SPOŁECZEŃSTWIE. (*)

Dokończenie. (Ob. Nr. 72).

Wielu utrzymuje, że aby zostać aktorem, nie potrzeba żadnéj nauki; nawet ludzie rozsądni w swoim rodzaju podzielają to zdanie, i dziwią się poznawszy artystę rzeczywiście wykształconego, iż pan ten lub ów, który ma tyle wiadomości lub czegoś nauczył się, mógł zostać aktorem. Pochodzi to ztąd, że dotychczas niema dla aktorów szkół odpowiednich, w którychby zajmowano się konieczném ich wykształceniem. Wprawdzie bez wrodzonego talentu sposobiącym się do tego zawodu szkoła talentu nie da, ale nauką przygotowawczą ułatwi udarowanym zdolnością jéj rozwijanie, dopomagając głównie do wyjścia z początkowości. Nie zgadzamy się bynajmniéj z tymi, którzy uporcie obstają, że dla artysty żadnéj nie potrzeba szkoły, bo jeżelić do najlichszego nawet rzemiosła potrzeba kilku lat nauki, jakże można przypuścić nawet, aby ktoś bez najmniejszego przygotowania mógł zostać artystą?

Obecne położenie artystów mianowicie w Niemczech, zmieniło się bardzo korzystnie. We wszystkich większych miastach wstęp otwarty dla artystów z talentem; w mniejszych może nie tak chętnie ich przyjmują, ale przyczyną téj niechęci jest chwiejna podstawa, na któréj zwykle budują się towarzystwa prowincyonalne.

Wyobraźmy sobie młodego człowieka utalentowanego, który zawód swój rozpoczyna w ja-

(*) Według Adolfa Szwarza. „Deutsche Warte."

kiéjś małéj mieścinie. Natchniony rozkoszuje się idealnym charakterem Don Carlosa, w którego ma się wcielić tego wieczoru. Tymczasem dla jakichś powodów sztukę zmieniają, dając tłómaczoną farsę: Gavaut Minard i Spółka, Czułą strunę lub t. p. lichoty, w których młody gość ma przedstawić kogoś, którymby na świecie być nie chciał. Nie wierzą, że takiego łamania zadań scenicznych, początkowo a nawet i późniéj bez bolu przyjąć nie można. A jednak powtarza się to bardzo często, lecz w końcu młody człowiek nawyka do zmian podobnych, obojętnieje na niepewność czy mu „Hamleta" czy „Chcę sobie pohulać," grać każą. Tej niestałości repertuaru, niedołęztwu kierującego, niestosowności w wypłacie umówionego wynagrodzenia przypisać należy po większéj części cofanie się, zobojętnienie, a często i zupełny upadek prawdziwych zdolności. Oto powody będące nieraz podstawą jeżeli nie zupełnego wyrzeczenia się własnéj godności, to przynajmniéj pewnego osłabienia charakteru, które szczególniéj przy lekkomyślném usposobieniu, najgorsze sprowadzić mogą następstwa, zwłaszcza jeżeli przy początkowém wykształceniu zaniechano ustalenia szlachetnych zasad.

Tak więc cierpi jednostka pod ciężarem stosunków właściwych temu stanowi, i ta jednostka musi sama sobą się podnieść, jak tego wymaga „Własna pomoc," bo pilnie na to baczyć należy, że materyalna pomyślność wymusza uszanowanie. Ludwik Schneider, obecnie Tajny Radca Dworu, były artysta dramatyczny, przed szesnastu laty wiedziony współczuciem dla dawnych towarzyszy, zajął się z całą troskliwością założeniem domu przytułku dla podeszłych w lata członków teatru. Opiekę tego domu przyjął na siebie książę Ernest sasko - koburg - gothajski. Wszystkie warunki pomyślnego rozwoju téj myśli towarzyszyły; albowiem dobrowolne ofiary i nadspodziewanie wielkie zajęcie się nią braci w zawodzie, utworzyły kapitał 100,000 talarów wynoszący; ale człowiek, który w roku 1855 napisał w swojéj gazecie: „Węgielny kamień już położony do potężnéj budowy, która wkrótce poświęconych scenie osłoni swojém sklepieniem; będącym w niedostatku da dach ochronny, i zapewnioną składkującym płacą pozwoli dokończyć życia bez trosk, wyprowadzając ich z otchłani nędzy..." ten sam człowiek nieszczęśliwéj pamięci, przez zemstę, że mu niepowierzono żądanego zakresu działania, obalił węgielny kamień ufności powszechnéj z pod wznoszącéj się budowy i za życia jeszcze cieszył się jéj upadkiem. Znowu więc wszystkie nadzieje polepszenia towarzyskiego stanowiska aktorów niemieckich usunięto w dal niedościgłą. Ale nie tylko w Niemczech spotykamy ludzi złowrogiéj pamięci; znajdują się wszędzie tacy, którzy własny interes stawiąc na pierwszém miejscu, podkopują wzniesione już nawet budowy.

Polska dwieście lat przezdziła Francyę widowiskami scenicznemi; albowiem już w r. 1194 grano dyalog dla rozweselenia ludu boleśnie dotkniętego śmiercią ukochanego monarchy Kazimierza Sprawiedliwego. W r. 1200 papież Innocenty gromił widowiska teatralne, bo je dawano po kościołach ze współudziałem duchownych. Na dworach panów grywano komedye improwizowane, wzorem włoskich „commedie del arte." Pielgrzymi wracający z miejsc świętych, przedstawiali także pewny rodzaj widowisk scenicznych. Za Zygmunta I na zamku krakowskim grywali po większéj części dworzanie królewscy, oraz damy z otoczenia królowéj; „Żywot Józefa" przez Reja z Nagłowic, „Odprawa posłów greckich" przez Jana Kochanowskiego w r. 1577 napisana, stanowią pewny rodzaj przejścia z dyalogów do dramatu. Mimo tego jednakże grywano je wszędzie, mianowicie po szkołach: w Wilnie, Warszawie, Poznaniu, Krakowie, Pułtusku i t. d. aż do zniesienia jezuitów za Stanisława Augusta. Kiedy żywiołem teatrów we Francyi było zepsucie i gorsząca swawola, nasze dramata i dyalogi treści pobożnéj lub historycznéj, tchnęły wiarą, prostotą i wesołością niewinną. Satyryczne dyalogi z XVI i XVII wieku powstające na nieład i zbytki, pisali po większéj części duchowni; nic przeto dziwnego że nie było w nich trucizny moralnéj, zgorszenia, że kobiety nie potrzebowały na widowiskach okrywać twarzy swoich maskami.

Za Zygmunta III towarzystwa przechodzące po wsiach i miastach, zwłaszcza w czasie postu, dawały dyalogi o Męce Pańskiéj, misterye pisane z Tajemnic wiary, z wesołemi intermedyami. Mieszczanie i lud z upodobaniem spieszyli na te przedstawienia. Biskup Maciejowski zabronił grywania misteryj po kościołach; ale po domach prywatnych, w szkołach, w święta i uroczystości, księża, studenci i żaki grywali dyalogi i misterye treści obyczajowéj. Jezuici wileńscy wprowadzili nową zabawę, zwaną processyami, w których na kilkunastu wozach jechały symbole, dogmata katolickie, cnoty teologiczne i t. p.

Kiedy we Francyi, Anglii, Włoszech i Niemczech, z rozkazu rządu zamykano teatra, wprowadzano obostrzenia cenzuralne, aktorów przekraczających przepisy skazywano na karę chłosty, wygnanie, u nas nie ma ani śladu podobnych rozporządzeń, ani podobnych kar; owszem widowiska sceniczne należały zawsze nietylko do obrzędu uroczystości dworu, ale nawet były ulubioną zabawą na weselach szlachty. Pomiędzy rozkazami władz wyższych, przywilejami, znajdujemy bardzo wiele na korzyść aktorów, nie napotykając ani skarg, ani gorszących postępków, ani procesów. Jeżeli gdzie, kiedy, ukazały się jakie usterki lub zapomnienia, nie było takiego rozprzężenia swawoli, uchybień przeciw moralności, aby przynosiły zakał stanowi aktora, okrywały go hańbą, pozbawiając praw obywatelskich.

Wprawdzie żaden z monarchów naszych nie występował na scenie jak Ludwik XIV; przecież począwszy od Leszka Białego, wszyscy niemal królowie opiekowali się teatrem. Aktorowie znajdowali zawsze u dworu wsparcie, pomoc; widać, że zasługiwali na te wysokie względy. Że jednak dopiero za panowania Władysława IV teatr otwarty został na zamku warszawskim, który następnie zamieniono w stały teatr dworski, pochodzi ztąd, iż większa część szlachty poprzestawała na wrażeniach, jakie wywoływały zjazdy i sejmy. Dyalogi jednakże grywano często po dworach.

August II i August III byli wielkimi zwolennikami teatru, a Stanisław August zostawił liczne dowody swojéj dbałości o byt, wzrost i świetność sceny krajowéj.

Duchowieństwo, jak wszędzie tak i u nas, nie wiele okazywało przychylności aktorom; jednakże o całém tego powiedzieć nie można, czego dowód jawny, że imieniny biskupów i prymasa w wielu miejscach obchodzono przedstawieniami teatralnemi. Prawda, że aktorkę Skurczyńską dopiero za rozkazem króla pochowano na cmentarzu, jednak nie wiele podobnych naliczylibyśmy wypadków. Ogół duchowieństwa nie podzielał zacofanych wyobrażeń niektórych jego członków.

Idąc za przykładem króla, pierwsze rodziny w kraju, utrzymywały na dworach swoich teatra, jak w Nieświeżu, Rydzynie, Dubnie, Grodzisku i t. d., a w czasach wojen, zamieszek politycznych, otwierały gościnnie domy swoje rozbitkom zmuszonéj do milczenia sceny.

Z tego pobieżnego poglądu przychodząc do bezstronnego sądu o stanowisku aktorów u nas, przekonywamy się, że umiano ich oceniać sprawiedliwie. Jeżeli bowiem w rozlicznych przemianach bytu, upadku, pomyślności, niedoli i nieszczęść sceny, aktorów bez przerwy otaczało współczucie, szacunek i uznanie ziomków, wspierała pamięć, opieka i względy wyższych, to wykazuje dostatecznie: że stanowisko ich u nas o wiele przewyższa położenie aktorów w innych krajach. Opinia ogółu z całą przychylnością oświadczała się za nimi, a lubo obcym, jako nowości udawało się zyskiwać powodzenie, były to tylko objawy czasowe, kończące się niemal zawsze chlubniejszém swoich zwycięztwem. Artystów prawdziwym udarowanych talentem, poświęconych sztuce, pracujących dla niéj z zapałem, ceniono i cenią wysoko, widzą chętnie w każdém prawie towarzystwie, przyjmują z należném odznaczeniem. Na nieszczęście z napływem obcych widowisk napłynęło i ponętne z pozoru zepsucie; a jeżeli w liczbie dosyć znacznéj aktorów trafiają się wyjątki niém dotknięte, powiedzmy szczerze: gdzież ich nie ma? Jednakże dla wyjątków zawód nie cierpi, nie poniża nikogo, nie pozbawia godności. Wymagamy tylko wszyscy, aby uznanie téj godności wyrabiało w aktorze, coraz silniejsze poczucie obowiązków obywatelskich.



Panu **J. de Br.** Wiersze nadesłane, drukowane nie będą, postąpiliśmy stósownie do żądania z niemi.

P. J. Z. Fragment drukowany w Nr. 67, był pióra pana Władysława Smoleńskiego.

Treść: O proszonym Chlebie, powieść Waleryi Marrené (Morzkowskiéj) (c. d.) — Przegląd Muzyczny, Fuzy. — Z Krakowa do Rzymu, wycieczka artystyczna.— Przegląd literacki (c. d.) — Kościół księży Kapucynów w Olesku.—Spotkanie się M. Stanleya z Dr. Livingstonem w Środkowéj Afryce.— Ze świata naukowego i społecznego. Stanowisko aktora w społeczeństwie (dokończenie). — Odpowiedzi. — **Ryciny:** Kościół ks. Kapucynów w Olesku. — Spotkanie się M. Stanleya z Dr. Livingstonem w Środkowéj Afryce w okolicach Ujiji.

Wydawca, Hipolit Orgelbrand. Дозволено Цензурою, Варшава 28 Августа (9 Сентября) 1872 г. **Redaktor**, Mieczysław Orgelbrand **Mag. Pr. i Adm.**

w Drukarni S. Orgelbranda Synów, w Warszawie ulica Bednarska Nr. 20.